

PAN MATEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA KLEPARZU.

HISTORIA AKADEMICKA W 6 PIEŚNIACH

SPISAL

Kłomens B. g. Kowak.

KRAKOW.
NAKŁADEM AUTORA.

1885.

PAN MATEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA KLEPARZU.

HISTORIA AKADEMICKA W 6 PIEŚNIACH

SPISAL

B.



KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1885.

N^o 2262



240937

134 a 1362

Z DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
POD ZARZĄDEM J. GADOWSKIEGO.

Kolegom

Autoz.

PIEŚŃ I.

PRZESTROGI.

Poezjo! nie leć na Olympu góry
Do mieszkań niebian, które kryją chmury,
Nie szukaj próżno cnót nadludzkich w świecie,
Co żyją tylko w kłamliwym poecie;
Zejdź na płaszczyznę żywota ludzkiego,
Zawodów, trudów i walki pełnego;
Wprawdzie najczęściej znajdziesz tylko błoto,
Lecz czasem perlę lub prawdziwe złoto.
Więc Muzo! — w drogę. Ja ci podam rękę,
Jeśli się boisz — zakasaj sukienkę!

* * *

Był mały pokój. Krótszy niż szeroki,
Pełno w nim gratów jest na wszystkie boki.
Pod oknem łóżko nieprzykryte stało,
Na nim bielizny zaś różnej nie mało.
Na stole obok książek piramidy,
Wszystkie traktują o sprawach Temidy,

Tu Zielonacki, tam skrypta Girtlera,
Obok znów dzieła Arndtsa i Rittnera,
Puchty, Windscheida, Zöpfla, Savignego,
Ungera, Randy, Herbsta i Szultego.
Obok zegarek. Na kufrze surduty,
Krawatka, kołnierz, skarpetki i buty;
Na piecu lampa, manszety leżały,
Po których splotywał na dół ręcznik biały.
Szafa otwarta, co tuż obok stała,
Każdemu zajrzeć wewnątrz dozwalała:
W niej wisiał paltot, różne kamizelki,
Szapo, frak, anglez, pantalony, szelki.
Na ścianie obraz kąpiącej Wenery
I innych sztychów kawalerskich cztery.

Gospodarz wpadłszy na zadumań pole,
Siedział na środku z nogami na stole,
Staszek Birbancki, chłopak jeszcze młody,
Smutny, bo dzisiaj nie pił nic prócz wody,
Myśli, że z wodą nie wytrzyma dłużej.
Stary paletot za szlafrok mu służy,
Wdział też pantofle cudnie wyszywane
I na odjeźdnem przez siostrę mu dane,
A na nich barwy żółte i zielone,
A w środku z góry floresy czerwone.
Głowę swą wetknął między ręce obie
I zasmucony ot tak dumal sobie:

Trzy dni nie skleił sen mojej powieki,
Trzy dni płynęły jakby długie wieki.
Zawitał „pierwszy“. Słonko zaświtało,
Blaskiem wesółym pokój mój oblało,
Ranne dzień dobry nuca dla mnie ptaszki,
Ach! dziś znów zajrzeć będę mógł do flaszki!

Przez dni dwadzieścia i dziewięć czekałem,
Ucząc się z biedy poprzestać na małym.
Dziś się już zbliżył kres oczekiwania,
Znów się nadarzy możliwość pohulania!
Liczę minuty z natężonym uchem,
Cały się stałem jednym zmysłem — słuchem!
Ktoś idzie — nie — to nie chód bryftregera,
Gdy wolnym krokiem na piętro się wdziera —
Znów ktoś — to nie on — znam, znam ten krok lisi,
Znam — to krok mojej służącej Marysi!
Znów jakieś kroki — teraz się nie myślę,
To on — listonosz, będzie tu za chwilę.

Ujrzałem w centy brzemienne papiery,
Czemuż w miesiącu nie ma „pierwszych“ cztery!!!

Trzy razy księżyc zmienił swoją postać,
Ostatniej szóstki gdy musiałem dostać.
Dziś — znów „pierwszego“ tęsknie oczekuję,
Brakiem monety myśl mą biedną truję.
Gdzież znikły lotnie te guldeny liczne?
Było czterdzieści — dziesiąteczki śliczne...

Jedna na długi — na obiady druga...

Jedna piąteczka służącej usługa...

Dziesiątkę kryją zapomnienia cienie —

A jedna piątka! o smutne wspomnienie!

Powabnych kształtów cudowna dziewica,

Jedwabne włosy, kraśne miała lica...

Pomnę to szczęście, pomnę owe chwile,

Które niestety już przemknęły mile!...

Cudnie marzyłem — srodze mię zbudzono —

Dzisiaj głód do mnie wyciąga ramiona,
Chce mię przycisnąć do zimnego łona —

Precz! precz! Nie taki kres mojego bytu!
Mnie świeci przecież — nadzieja kredytu!
„Kredytu!“ ściany powtórzyły echem.
Zerwał się Staszek z wesołym uśmiechem:
„Żyjemy — krzyknął — zapomniałem o tem!“
Zrzucił więc szlafrok i pantofle potem,
Zrzucił pantofle cudnie wyszywane,
I na pamiątkę przez siostrę mu dane,
A na nich nitki żółte i zielone,
A w środku z góry floresy czerwone.

Przebrał się szybko, wypadł z kamienicy,
Pędzi na Kleparz jak wiatr po ulicy.

Więc za nim Muzo! przejdźmy się po rynku
I wstąpmy, luba, ach! — choćby do szynku.

Na środku rynku stał dom odrapany,
Stare ku ziemi zapadły się ściany,
Okienka małe świecą tuż przy ziemi,
A wonny rynsztok płynie tuż pod niemi.
Obok zielone okiennice wiszą,
Z każdym powiewem wiatru się kołyszą,
Nad wjezdną bramą szyld jest malowany,
A na nim napis: „Zajazd“.

I dach zajazdu mchem już porósł stary,
Dźwiga na grzbiecie kominów dwie pary,
Obok dymniki, jak małżonków dwoje
Siedzą przy sobie licząc lata swoje;
Tymi się mile światło na strych leje,
Tymi się nocą wkradają złodzieje.

Na prawo stary płot drzewny się wije,
Kapustę sobą panny Mani kryje,
Drzewa ogródka długie sznury łączą,
Schnącą bieliznę rozmałą płaczą.

Wtem się u okna ruszyła kwatery
I oko nasze do wnętrza zaziera:
We wnętrzu Mania, powabna panienka,
Stała przy oknie, a jedna jej ręka
Wzniesiona, gwałtu!... — trzymała... czy wiecie?

Poezjo! czegoż nie radzisz pocie!

Myślą nam każesz daleko ulatać
I w prozę życia ideały wplatać,
Tybyś myśl moją rada ukołysać
Radziła: różę trzymała — napisać.

Lecz powiem prawdę: kieliszek trzymała,
A drugą rączką sznapsa nalewała.

Widzi to Staszek i przyspiesza kroku
I wkrótce przybył do Maryni boku.

Izba ogromna, z podłogą ceglana,
Śnieżystem wapnem była pobielana,
Powalę tworzą heblowane belki,
Pod oknem szynkwasy, wódek zapas wielki.
W nim wonny arak i gdańska przejrzysta,
Dalej kminkowa i żytniówka czysta,
Likier rumiany, smaczna kontuszówka,
Czysty spirytus, tęga szpagatówka.
Do koła stoły.

Że dziś nie niedziela,
Więc gości w izbie zasiada nie wiele.
Paru studentów bigosy zajada,
Kiedy nasz Staszek jako bomba wpada.
„Głodnym jest wściekle, a więc bez ogródki,
Maryniu piękna — daj kieliszek wódki!”

Tak rzekł nasz Staszek i napił się trunku,
Pod jego wpływem zapomniał frasunku,

Potem co żywo rozbratel polyka,
Kiedy ktoś nagle drzwi izby odmyka.
Wszedł pan Mateusz, starzec już zgarbiony,
Lecz rzeźwy jeszcze, chociaż pochyłony,
Choć włosy białe, twarz miał czerstwą, zdrową,
Lecz pooraną zmarszczkami, surową,
A z pod brwi błyskał bystrych oczu parą;
Konfederatkę na głowie miał starą,
Niegdyś czerwoną, dziś już wypłowiałą,
W zębach zaś trzymał fajkę starą, małą,
Porcelanową, od dołu z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką.

Mateusz w całym Kleparzu był znany,
U wszystkich mieszczan wielce szanowany,
Z wszystkimi prawie był on w pokrewieństwie;
On chętnym swatem jest w każdym małżeństwie,
On pośredniczy w wszystkich zaręczynach,
On ojcem chrzestnym jest na każdych chrzcinach
I na Kleparzu od lat bardzo wielu,
On był starostą na każdym weselu.

Gdy wszedł do izby, czapkę z głowy schwył,
Obecnych w koło uklonem zaszczył.
Napil się wódki, splunął na podłogę,
Potem uściśnął swą Marynię drogę,
Potem z ust wyjął swą fajkę z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką,
Puścił kłęb dymu i rzekł lotne słowo,
Czasem mimicznie kiwając swą głową:

„Cóż tam nowego panowie powiecie?
Co w polityce, co słyhać na świecie?
Ponoś stolicę Kościoła zamierza
Wróg zabrać, pragnie wypędzić papieża?

Tak u świętego wczoraj Floryana
Było w kazaniu księdza Boliana. —

Ej akademiki! ej panowie młodzi,
U was to wszystko po głowie wam chodzi,
Niewiara u was skrzydła rozpościera,
Z ust bezbożnika, jakiegoś Birtlera,
Profesorowie plotą wam androny —
Mówił i o tem wczoraj ksiądz z ambony,
Że młodzież dzisiaj, że akademiki,
Same bezbożne są to heretyki,
Że zatwardziali we występku brodzą,
Że na rozpustę, nie na studia chodzą...

Strzedz wam się radzę i nie gadać o tem —
Nieszczęście bowiem łatwe z tego potem;
Tu na Kleparzu przez to was nie lubią
I przy okazji chętnie was wyczubią.
Więc o religii nie gadać tu wiele,
Nie siać niezgody w chrześcijan kościele...
Tu naród cały kocha Boliana,
U nas w papieża wiara niezachwiana. —

Mularze zwłaszcza, naród wojowniczy,
Ani się z mową, ani z pięścią liczy,
A mianowicie mularze z Krowodrzy,
Chętni do bitki, choć są ludzie dobrzy.
Nie zaczepiajcie więc tego narodu
I gdzie do bitki nie dajcie powodu“.

Tak rzekł Mateusz i fajkę z odlewką
Zaopatrzoną mosiężną pokrywką,
Wsadził do gęby, puścił chmury dymu
Gęste i czarne, jak gdyby z kominu.

„Tak radzi stary — podjął znów po chwili —
„Pomnijcie, byście głupstwa nie zrobili,

„Bo z malej, czasem rzecz wielka się bierze“.
Staszek za radę dziękuje mu szczerze
I na odchodnem kufel w siebie wlewa.
Potem u Mani zaznacza passiva
Kredą na czarnej pod oknem tablicy:
Rozbratel, wódkę, kawał polędwicy,
Kufelek piwa, dwa małe bigosy,
Co razem centów sześćdziesiąt wynosi —
Potem pożegnał Manię, Mateusza,
I z nowinami do kolegów rusza.



PIEŚŃ II.

KASYNO STUDENCKIE.

Pędzi nasz Staszek do kasyna żwawo,
Trąca przechodniów na lewo i prawo,
Dopada wreszcie schodów od kasyna:
Egipskie ciemnie! świecy na nich nie ma.
Skąpy właściciel nie popuści trzosa,
Niech akademik nabije tam nosa!

Trafił nareszcie w drzwi macając mury
I wiodąc kroki za krzykami z góry.

Gdy drzwi otwiera, coś oko uderzy?
Kościoła, domu, czy też widok wieży?

Wiemy z historyi o różnych ogromach,
O piramidach, labiryntyckich domach.
Na piramidę kasyna nie stało,
Więc wielką szafę tylko zbudowało.
Jej cię to widok uderza na przedzie,
Kiedy się okiem po kasynie wieszcie.

Reszta jest mglistą okryta powłoką,
Nim z dymem cygar oswoi się oko.

Najprzód, powoli z pośród rzeczy wielu,
Z mgły się wynurzy dyżurny w fotelu,
Ten z papierosa, dym obficie zionąc,
Patrzy na zegar, w zadumaniu tonąc,
Rychło-li minie dyżuru godzina,
Bo mu się nudzić już wściekle zaczyna.

Opodał nieco, stoliki szachowe.
Nad nimi gracze suszą sobie głowę.
Ten zadumany, palcem w czoło stuka,
Znać posunięcia w swojej głowie szuka,
U przeciwnika już uśmiech przelata,
Znać w kilku „cugach“, że daje już mata.

W drugim pokoju, w bilardowej sali,
W koło bilardu różni gracze stali,
Chociaż wszelkiego tamże bajtlowania
Surowo nowy regulamin wzbrania.
Śmiech się dokoła rozlega co chwilę,
Gdy chudy Bekas uderzy w swą bilę,
A chudy Bekas robi „świń“ bez liku,
Pomimo śmiechu patrzących i krzyku.

Staszek powitał tego i owego
I do pokoju podąży trzeciego,
Gdzie wśród natłoku widać głów bez liku
I pełno siedzi przy każdym stoliku,
I długie jakieś wiodą rozmowy,
Bo właśnie dzisiaj są nowe wybory.
A dużo mężów staje do zawodu,
A wszyscy równie wysokiego rodu;
Wielkie zalety ma jeden i drugi,
(Większe lub mniejsze ma w kasynie dług).

Dotąd powszechna wśród kolegów zgoda,
Nad wszystkich wyżej stawiała Stonoga.
Lecz nie jednego męża obrać mają,
Bo wydziałowych, skarbnika szukają.

Ozwał się dzwonek. Wszyscy już się zbiegli,
Jak kto potrafił, w kolo się rozsiedli,
Najwięcej żydów, bo tych wszędzie wiele,
A wśród nich Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Dalej stał Glattman przy boku Deichesa,
I Kalman Cypres obok Margulesa,
Rosenzweig w tyle, dalej Hirsch Fajglowitz,
Goldberg i Goldsand, Goldbaum i Horowitz,
Trzej Silbersteiny, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower.

Znów zabrzmiał dzwonek. Protokół na stole,
Czem zwykle narad zaczyna się kolej.

Lecz choć się wszyscy na naradę pchali,
Nie pusto jednak w bilardowej sali.
Tu chudy Bekas robi „świń“ bez liku,
Pomimo śmiechu patrzących i krzyku.

Steinkeller właśnie próbował buzera,
Lecz opuściło szczęście Steinkellera:
Trafił za blisko, bila mknie z ukosa
I tak na próżno pozbawił się sztosa.
Więc krzyknął gniewny:

„Na ciebie jest kolej!

Graj więc Bekasie, ty masz w głowie olej!“
Ten spojrział smutnie, bo nie ma „siadacza“,
Lecz za kij bierze i nic nie rozpacza.
Natarł kij kredą, spojrział gdzie są bile,
Staął — znów spojrział i pomyślał chwilę —

Jakby ukąszon był przez tarantulę,
Nagle z nienacka szturknął w jedną kulę.
Warknęły bile, rozległ się śmiech w sali,
A długi Bekas „falszem“ się swym chwali.
Smutna pociecha nieszczęsnego gracza!
Przeciwnik za to zręczność swą roztacza.
Biada na bilard, na „pechowną“ dołę,
Lecz przecież robi cztery karambole.
Puścił piątego. Podstawił się strasznie,
Bekas jak na złość, robi „świnie“ właśnie,
Pomimo „falszów“ odwrotnych i „tuszu“,
Rżnie karambole pełen animuszu.
Puścił znów sztosa.

Sala brzmi od echa,
Że Bekas dzisiaj ma strasznego „pecha“.
Wtem Jakób nadszedł i głośno ogłasza,
Że nie grać więcej wszystkich się uprasza,
Dziś bowiem wielce ważne zgromadzenie;
To mówiąc, bile chowa w swe kieszenie.
Radzi nie radzi poszli na narady,
Gdzie się już wszechły mówki pełne swady.
W sali nabito, jako w beczce śledzie,
Iż nawet Bekas w niemałej był biedzie
Zmieścić się jeszcze, choć cieńszy od kija.
A ciekaw bardzo, bo tam jakaś chryja,
Gdy na lewicy biją huczne brawo,
Cisza ponura zalega na prawo.
Prezes obrany. Teraz nie pomalu
O członków innych walczą do wydziału.
Do walki stają różni kandydaci,
Każdy się łasce poleca swych braci,

Ten, ów poleca swego kandydata,
Chwali, podnosi, iż jest demokrata,
I tak wciąż bają kręcąc się w tem kole,
Gdy zabrzmiał dzwonek prezesa przy stole.
„W kwestji tej Gembosz o głos teraz ‘prosi’.
Z lewicy brawo, z prawa krzyk się wznosi;
Zrywa się mówca od fortepiana:
„Koledzy! rzecze — rzecz to wszędzie znana,
Że młodzież w drogi wstępuje dziś nowe —
Przebrzmiały dawne tradycje rodowe —
Przebrzmiała dawna szlachecka potęga,
Lud po najwyższą dzisiaj władzę sięga,
I tylko trzeba wzbudzić masy całe,
Zrzucić okowy rdzą już zapleśniałe —
Takie kandydat mój żywi zasady.
Zatem, koledzy, bez długiej narady,
Dajcie mu wyraz swego zaufania,
Dajcie mu głosy wszyscy bez wyjątku —
Lecz jeszcze wrócić muszę do początku,
Dorzucić muszę tu słów jeszcze parę,
By kandydata dać wam ceny miarę:
Znany kolegom, znany od lat wielu,
Studencką kuchnię stworzyć ma na celu.
Nie dość, że robi nad tem, co zamierzył,
Lecz nawet — jak się poufnie mi zwierzył —
Dzielo już pisze o kuchennej sztuce
Ku pożytkowi wszystkich i nauce,
Gdzie poda sposób robienia bifsztyka,
Który nie będzie kosztować fenika;
Sądzę, że jest to wynalazek walny,
Który dobrobyt wzniesie socyalny!”

Zaledwo skończył, a tu huczne brawo
Zabrzmiało w sali na lewo i prawo.

Kandydat przeszedł przeważną większością,
Poczem Kalemur był niezgody kością.
Kandydaturę jego Bąk popiera,
Jak pragnąc uczyć z innymi Hausnera,
We Lwowie walczył z policyantami,
Nawet był ranny; czego ten był powód,
Że zabroniono im zrobić korowód.

„Co za korowód! — ktoś z kąta podniesie —
„Wszak to po polsku fakelcugiem zwie się!“
Na to się liczne podniosły zarzuty,
Słowo: „fakelcug“ przyszło pod dysputy,
I dużo trzeba przejść było kłopotu,
Nim do dawnego wrócono przedmiotu.

Kalemur przeszedł, choć oponowano,
Na tem porządek dzienny wyczerpano.

Wtem nagle Staszek zrywa się siedzący,
Krzyczy, że jeszcze ma wniosek naglący,
Umotywuje zaraz, tylko o głos prosi.

Wiedzieli wszyscy, na co się zanosì,
Więc każdy znowu na miejscu zasiada,
A Staszek do nich w ten sposób zagada:

„Nie wiem, koledzy! dokąd Kościół zmierza,
Gdy nieomylność przyjmuje papieża,
Atoli skutki już się okazały:
Świat naukowy — protestuje cały.
Nasz Padurowicz, Gilewski — wyklęci!
Atoli sędzę — coś więcej się święci!

Ot u świętego wczoraj Floryana
Było kazanie księdza Boliana.

W nim gadał śmieie, że akademiki
Są dzisiaj wszyscy same heretyki,
Że zatwardziali we występku brodzą,
Że na rozpustę, nie na studia chodzą,
Że każdy djabłu, nie Bogu się kłania —
Jutro ciąg dalszy nastąpi kazania.
Więc pójdziem wszyscy, wysłuchamy sami,
Czy prawda, że nas publicznie tak plami,
A jeśli prawdą wieść ta się okaże —
Niech ksiądz grzech z siebie skórą swoją zmaże!”

Gdy skończył, brawo jakby huragany
Śniegu i gradu uderzyły w ściany,
Zabrzmiało w koło z prawa i z lewicy,
Bo cenią honor swój akademicy;
Na aklamacją wniosku się zanosi,
Wtem mądry Stonóg o słów parę prosi.

Stonóg stał z boku, podparty przy murze,
I nierad bardzo całej awanturze,
Chciał jakoś skrócić całej sprawie głowę
I w tę się do nich odezwał on mowę:

„Koledzy moi! raczcie zważyć chwilę,
Czy na wieść prostą warto krzyku tyle?
Potrzeba sprawdzić, przekonać się o tem,
A gdy się sprawdzi, więc dopiero potem
Żądać u sądu zadośćuczynienia,
A nie w lot rzucać kamień potępienia,
Nie robić burdy ani krzyku wiela,
Gdyż na to prawo pomocy udziela;
Wybrać komisją, wysłać na kazanie,
A ta nam tutaj złoży sprawozdanie“.

Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi;

Lecz większość przeciw wznosi ręce w górę,
Ażeby jutro zrobić awanturę,
A w tej większości żydów bardzo wiele;
Na przodzie Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Radzi z niezgody w chrześcian Kościele,
Dalej stał Glattman przy boku Deichesa,
Schudmak i Bazes obok Margulesa,
Rosenzweig w tyle, oraz Hirsch Fajglowitz,
Goldberg i Goldsand, Goldbaum i Horowitz,
Trzej Silbersteiny, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower.

„A więc gdy takie jest większości zdanie,
Rzekł Stach — że pójdziem wszyscy na kazanie,
Zatem wystąpić trzeba solidarnie!

Każdy niech jutro swych znajomych zgarnie,
Bo gdzie honoru rzecz ma być sądzona,
Nie masz niezgody wśród młodzieży grona.

Jak razem, to wszyscy razem, mosanie,
Niech akademja jak mąż jeden stanie!

Pozwólcie tylko jedną rzecz uwagę:

Niech każdy z sobą weźmie grubą łagę,
Bo Kleparzanie z cicha podburzeni,
Djabelnie ku nam źle usposobieni,

Czasem podpici przyznają się szczerze,
Że heretyków obić chcą ich bierze.

„Hurra! — krzyknęli — hej na Boliana!

Będziemy wszyscy tam u Floryana!“

„Na Boliana!“ wszyscy powtórzyli,
I zgodnie razem na komers ruszyli,

A na wezwanie przewodniczącego

Miejscem komersu jest handel Fuchsego.

Ustały walki i umilkły burze,
Mało kto jeszcze pozostał na górze.
Posner papiery do szafki zamyka,
I tylko szuka w kieszeni kluczyka;
Ze schodów liczne odbrzmięwa tupanie —
Wkrótce ucichnie, Jakób sam zostanie.
I Posner odszedł.

Zamknął Jakób zamki,
Pochował klucze, popróbował klamki,
Kontent, że się już kończy jego praca,
Szybko w kasynie porządek przywraca.
Stolki pozbierał i kurze pościarał,
Złożył gazety i szachy pozbierał,
A że na bilard patrzeć jego dola,
Spróbował w drodze zrobić karambola.
Nakręcił zegar, posłuchał czy tyka,
I zadumany usiadł u stolika.
Myśl jego w przeszłość kasyna ulata,
W niedawne owe tak szczęśliwe lata,
W szczęśliwe chwile, gdy walk tu nie było
I o stronniectwach nikomu się śniło,
Nie było kłótni, niezgody, ni wrzasku.

Tak zadumany wśród księżycy blasku,
Patrząc w przebrzmiałą przeszłość tę promienną,
Oparł na rękę ciężką głowę senną;
Pamięć lat dawnych do głowy się tłoczy
I dziwne mary stają mu przed oczy:
Suną szeregiem wśród blasku księżycy
Dawni prezesi poważnego lica;
Poważni, jakby z mogiły powstali —
Naprzód Domański dzielnym krokiem wali,

Kwieciński za nim, Gluziński, Jabłoński,
Merunowicz i Cosel i Lesław Boroński,
Buszek, Pareński, Świerz i Filasiewicz,
Starkel, Śliwiński, Kazmierz Bartoszewicz;
Za tymi znowu jakież to widziadło?
To biedny Borek z swą twarzą wybladła,
Troski go liczne do grobu wpędziły.
Za tym znów Stonóg pełen męskiej siły,
Trzyma pod rękę enego Bogdanika,
Prezesów szereg ostatni zamyka...

Mkną przed Jakóba sennemi oczyma,
Powoli nikną, nic ich nie zatrzyma —
Promień księżyca jak wpierw świeci drżący...

Tak marząc zasnął kasyna służący.



PIEŚŃ III.

KOMERS.

.
Z początku hałas, stukanie i krzyki,
W podkowę stoją krzesła i stoliki.
W koło usiedli nasi przyjaciele,
A z nimi Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Lecz choć już wszyscy zasiedli do koła,
Najpierwsze miejsce próżne jest u stoła:
Tam siedzie prezes komersu młodzieży,
Jemu tam miejsce pierwsze się należy,
Obrać go mają, a powszechna zgoda
Prosi nowego prezesa — Stonoga,
„Niech przewodniczy!“ głos ogólny woła.
Więc zasiadł Stonóg, dziękując dokoła.
Gdy to się stało, napowrót usiedli
I milcząc pili lub też wirsztle jedli.
.... Toastów nadeszła już pora.
Więc prezes wznosi zdrowie kuratora;

Potem nasz Staszek w nadobne frazesa

Pije za zdrowie kolegi prezesa.

Prezes dziękuje i znów zdrowie pije:

„Niech wiceprezes jak najdłużej żyje!”

Potem znów zdrowie piją podskarbiego,

A ten dziękując za pamięć na niego,

Na odlew wznosi zdrowie sekretarza,

A ten znów pije do bibliotekarza.

Gdy wyczerpnięto szereg dygnitarzy,

Piją, gdy tylko sposobność się zdarzy:

Ten do sąsiada, ten toast kochanki,

I tak bez końca trącają się w szklanki.

Nareszcie Gembosz podnosi się z kąta,

Stając na krześle, głosu znakiem żąda.

Gdy mu głos dano, jał bając szeroko,

Jak naród utkwil dziś w konserwatyzmie,

Ultramontanizm jak wrósł się głęboko,

Lekarstwo na to jest w liberalizmie,

A więc trza „postęp“ rozszerzać dokoła,

Usuwać zwolna wszędzie wpływ Kościoła,

Arystokrackie zwalczać przekonania

I postępowe w ludzie krzewić zdania.

Gdy się tak Gembosz wygadał do woli,

Na Wodnickiego nadeszła znów kolej:

„Koledzy! — rzecze — nie chcę mówić wiele,

Wszyscyśmy równi, wszyscy przyjaciele!

Wszystkie te mówki, te piękne gadania,

Te o postępie, Kościele bajania,

To odróżnianie pana, demokraty —

Próżne to słowa — bośmy wszyscy braty!

To wznieca klótnie pijackie i waśnie,

Dajmy im pokój — niech je piorun trzaśnie!”

Ta energiczność ostatniego zdania
Trafiła wszystkim do ich przekonania.
Dali więc pokój polityce wszelkiej,
Za to się wzięli dzielnie do butelki.
Krażą kieliszki i butelki kołem,
Ten, ów już ścięty leży gdzieś pod stołem,
Rumieniec lica już wszystkich rumieni,
Lecz mimo tego mówcy niezrażeni
Gadają ciągle, różne hasła głoszą,
Jeden za drugim wciąż toasty wznoszą.
Gdy i Takowicz jał się do gadania,
Wszczęły się ciche mądrzejszych szemrania,
Lecz on swą mówkę ciągle jeszcze prawi.
Każdy jak może w swym kącie się bawi —
Ten o jutrzejszej znów wyprawie gwarzy,
Czy awantura jaka się nie zdarzy —
Ten w zębach dłubie, albo na głos ziewa,
Inny półgębkiem jakąś piosnkę śpiewa,
Inny mniej grzeczny głośno zdrowie pije:
„Kolega Jacek niech nam długo żyje!”
Ale Takowicz jak zaczął tak plecie;
Aby mu przerwać, znalazł się ktoś przecie,
Co bez żenady jawnie głos zabiera —
Wnosi: kolegę prosić Lamszajdera,
By z swojej cytry dobył miłe brzmienia
Gwoli zabawy urozmaicenia.

Na to prezes się ozwał: — „Approbatur!
Niechaj Lamszajder zagra „Nur für Natur“.

Wolają mistrza, cytrę mu przynoszą,
I by co zagrał usilnie go proszą.
Mistrz się wyprasza i niby się wzbrania,
Że palce jego odwykły od grania,

Lecz się niedługo dał w końcu ubłagać.
Na to rzekł prezes: „Silentium! siadać!”
Ucichło wszystko i cisza nastala,
Tylko strojona cytra się ozwała
Czasem dźwięcznemi z metalu strunami,
Aż mistrz w nią z lekka uderzył palcami.

Z początku cicho pod trąceniem ręki
Zabrzniały struny, jakby jakie jęki,
Lekkie i ciche, jak powiewy wiatrów,
Wzrastają coraz. Tak z wierzeholka Tatrów,
Z skrytego źródła wzrasta potok mały,
Śaczy się szemrząc nieznacznym przez skały
I w drodze inne pochlania potoki,
I wzrasta ciągle, płynąc przez opoki —
Wreszcie z potoka, z małego strumienia,
W rzeki wodospad wielki się zamienia.
Tak dźwięki cytry coraz silniej brzmiały,
Aż wzrosły wreszcie w akord okazały;
Z akordu zwolna tworzy się już pienie
I „Nur für Natur“ wzbija się w sklepienie
Odczuli wszyscy drganie od walczyka
I u każdego szmer powstał stolika,
W takt o talerze biją widelcami
I przytupują do taktu nogami.

Nagle mistrz płacze i przemienia tony,
Biega po strunach i jakby natchniony,
Jak gdyby przeczuł słuchaczy życzenia,
Walc w ulubioną poleczkę zamienia.

Ledwo słuchacze mistrza myśl pojęli,
Choć się nasłuchać dość czasu nie mieli,
Mistrz w „mol“ przechodzi i znów dźwięki ciche
Oddają smutną piosnkę: „Die heimliche

Liebe!“ Wszyscy się z kochankami smuca,
„Das ist die Liebe“ po cichutku nuca,
Każdy swą myślą za komers ucieka,
Każdy wspomina chwile u Frybeka.

Mistrz dalej, jakby umyślnie, podnieca,
I gra im marsza; każdy tupie nogą,
Lecz wreszcie wszyscy wytrzymać nie mogą:
„Du Elisabeth!“ chórem okrzyknęli,
Akompanjować cytrze w koło jeli.
Takt po talerzach biją widelcami
I przytupują do taktu nogami —
Nagle ustali — bo mistrz tony wznosi,
Nateża takty — coś nowego głosi —
Przerywa nagle — i o kufel prosi.
Dali mu chętnie, wdzięczni za to granie,
I rozpoczęli dalsze zajadanie.

Cisza wróciła — znowu brzęk talerzy
• Słychać — czasem ktoś w szklankę uderzy.

A na to Stonóg: „Cóż to, bracia moi,
Także studentom bawić się przystoi?
Zrazu wrzask pjany, a potem szmer cichy,
Mamyż ucztować jak zbójcy lub mnichy?
Inne zwyczaje były za mych czasów,
Gdy na majówce wśród Bielańskich lasów
Przy obozowem piliśmy ognisku,
Łącząc się wszyscy w braterskim uścisku.
Tam były pieśni!... między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?

Serce człowieka piwo rozwesela,
Ale poezja jest dla myśli winem!“

Na to wezwanie wstał Kalemur młody
I deklamował jakieś czule ody.

Ziewnęli na to ten i ów po cichu
I zatopili swe nudy w kielichu.

A na to Stonóg: „Nasz Kalemur młody
Tylko piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w studenckim gronie
Nie masz dziewicy, coby mu na łonie
Wdzięczna przypieła marny kwiatek róży!“

„Jest, jest dziewica! — ktoś z kąta ozwie się —
„Właśnie Marysia świeże piwo niesie!“

Parsknęli wszyscy i ucichli potem,
A Stonóg dalej tak znów mówił o tem,
Co zaczął: „Innego trzeba nam barda!
Bo student innej chce ody, piosenki!
Niech ona będzie i dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki —
Niechaj uderzy jako grzmot o ściany,
Niech od niej zadrżą wrogie Boliany!
Kto taką piosnkę nam tutaj zaśpiewa?
Kto! Czekamy! Kto? nikt się nie odzywa?“

Cisza ponura zaległa dokoła.

A wtem Birbancki: „Ja śpiewam — zawoła —
Nieraz pieśń taką w knajpie ja śpiewałem,
Gdy na komersy dawniejsze chadzałem —
Lecz ci, co pieśni mej dawali ucha,
Jednych mogiła pokryła już głucha,
Inni bezpłatnie gdzieś tam w sądzie piszą
I tylko piór skrzyp i głos woźnych słyszą...
A u własnego inni już ogniska
Słyszą, jak mile skrzypi im kołyska!
Lecz precz te myśli! na bok z tem wspomnieniem,
Radości naszej nie kryjmy tym cieniem.

Dalej wesoło nastrójmy swe głosy
I pieśń wesola niech bije w niebiosy!“

„Wiwat nasz Kuba!“ (Kubą Staszka zwano)
Rozgłosnie w koło chórem zawołano,
A Staszek w koło dumnie okiem rzucił
I taką piosnkę swym basem zanucił:

„Już gruzy z murów Krakowa padaly;
W serca obrońców wkradło się zwątpienie,
Już roty Szwedów na mur się wdzierały
I od granatów wszczeły się płomienie.
Wśród grzmotu armat i walczących krzyku
Chrobry Czarniecki odwagi nie traci.
Od jego szabli wróg pada bez liku,
Krwia swoją płacąc za krew naszych braci.
Szturm już odparty. Lecz co jutro będzie?
Szwed się przybliżył, już podkłada miny,
Przemocą Kraków zwątpiony zdobędzie —
Krótkie wolności zostały godziny!

Dumał na murach wódz nasz przy ognisku,
Gdy się doń garstka zbliżyła studentów;
Wódz im wskazuje coś po bojuwisku,
Wskazuje rozkład szwedzkich regimentów
I gdzie szwedzkiego króla jest kwatera.

Kiedy wódz skończył, uścisnął młodziany
I łza mu z oczu popłynęła szczerą,
Gdy ich wyprawiał za Krakowa bramy.

I znowu cisza w koło panowała,
Tylko strażnicy na murach czuwali;
Snem przekrzepiają mieszkańcy swe ciała,
Dawno bez huk armat już nie spali.

Wtem od tej strony, gdzie są Bernardyny,
Bębny w obozie szwedzkim się ozwały —

Znać niespodziane zaszły tam nowiny...

Król najeźdźników, jego generały,

W kościele właśnie u stopni ołtarza

Zasiedli kołem do wspólnej biesiady

I wszyscy pieczęcią nadzieje mocarza,

Że dzień już bliski Krakowa zagłady,

Że wkrótce ucztę wyprawia w stolicy,

Pić będą wino puhary mszalnymi

W zamkowej króla polskiego kaplicy.

Gdy się chęlpili właśnie słowy temi,

Bębny w obozie zdala się ozwały —

Wstał orszak króla zadziwiony cały,

Wtem drzwi kościelne otwarły się z trzaskiem —

Nasi studenci wpadli do kościoła,

Strzał z przerażenia połączył się wrzaskiem

I popłoch powstał wśród Szwedów dokoła.

Król Szwedów pierwszy uciekł od biesiady,

Za nim się reszta w popłochu rzuciła;

Z bronią studenci pobiegli w ich ślady

I od ich razów legło wrogów siła —

Sam Karol Gustaw pałaszem raniony

Ledwo ocalał w haniebnej ucieczce

I cały oddział Szwedów przełęczuiony

Uległ odważnej studentów wycieczce.

Krzyki walczących i muszkietów strzały

Mieszkańców miasta z uśpienia wyrwały;

Wybiegli z domów wszyscy potrwożeni,

Myśląc, że Szwedzi szturm znów przypuścili,

Chcąc miasto podejść pośród nocy cieni.

Lecz uspokoił ich wódz w jednej chwili,

Gdy im obwieścił radosne nowiny,

Że to wycieczka ze strony Polaków
I że nie prędko Szwedzi wezmą Kraków.

Ledwo dzień powstał, słońce zaświeciło,
Wszyscy wybiegli na wieże, na wały,
I całe miasto jak gdyby odżyło,
Kiedy studentów hufce powracały,
Sławą okryte ale i ranami.

Niech żyją dzielni! lud zebrany woła,
I radość wszędzie panuje dokoła.

Męstwo walecznych wdzięczny lud czeią święci
I wielkość przodków wiecznym nam przykładem.
Niechaj więc żyją na wieki w pamięci,
Niechaj potomki idą za ich śladem,
Krzyknijcie: Wiwat krakowscy studenci!"

Tak śpiewał Staszek, a wszyscy na sali
Dzielnego Staszka za ręce ściskali.
Lecz że już późno, że ten, ów już śpiący,
A więc z kielichem wstał przewodniczący,
Zakończy ucztę wedle tradycyje
I staropolskie: „Kochajmy się!“ pije,
Potem ogłasza, że tradycyjnego
Zrobić należy po mieście „gęsiego“,
Wszyscy się zebrać mają biesiadnicy
Przed bramą knajpy, razem na ulicy.

Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.
Więc gdy już wszyscy stanęli przed progiem,
Krzyknęli: „Naprzód za naszym Stonogiem!"

Stanęli razem. Już Stonóg na przedzie
Staje gromady, on naprzód powiedzie.
Na hasło wszystko w szereg się gromadzi —
Daje znak Stonóg — „gęsiego“ prowadzi;

Sznur się rozwija, ciągle w długość rośnie,
Jak gdyby z kłębka wysnuta nie w krośnie.
Idą „gęsiego“ nasi przyjaciele,
A z nimi Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Na przodzie Stonóg — odbijają buty
Od bruku, czasem podkręca wąs suty,
Stapa powoli, niby od niechcenia,
Lecz z kroku jego, z każdego ruszenia
Wyczytasz myśli i uczucie jego.
Nagle zawraca na prawo gęsiego —
Staje na miejscu — laską na znak wstrząsa —
Skręca znów w lewo i podkręca wąsa.
Skręcił a wszyscy biegną w jego ślady.
On policjanta chce wziąć do gromady,
Więc staje przed nim, rękę w górę wznosi,
I by go w koło okrzyki, prosi.
Policjant radby na bok się uchylić,
Odmienia drogę, chce ich plany zmylić.
Lecz go dokoła ścigają natręty
I obwijają tanecznymi skrętami.
Więc groźnie rękę na rękojeść składa,
Jak gdyby mówił: Zdaleka — lub biada!
Zwraca się z dumą i wyzwaniem w oku
Prosto w tłum — lecz ci nie ustąpią kroku,
Zmieniwszy szyki obstepują w koło
I maszerują, śpiewając wesoło.
Zwraca się Stonóg. Na prawo prowadzi,
Reszta się za nim znów w szereg gromadzi —
Zagasza lampę, znów skręca na lewo,
Okraża chyłkiem stojące tam drzewo,
Robi ósemkę, łączy szereg w dwoje.
Jak waż w tysiączne łamiący się zwoje

Kręci się „gęsi“, splata się i zwija,
Bierze przechodniów w kolo lub wymija.
Ci ustępują, Stonóg zmienia szyki,
Znów ich zagarnia. Brzmia zewsząd okrzyki:
Ach! to może ostatni! patrzcie młodzi!
Ostatni, który „gęsiego“ tak wodzi!

I szli tak dalej, śpiewając wesoło,
I budząc podziw przechodniów w okolo.



PIEŚŃ IV.

BITWA.

Ledwo, że przeszli święty próg kościoła,
Ujrzeni tłumy Kleparzan dokola,
A wszyscy zbrojni w kije i patyki,
A zewsząd wznoszą wojenne okrzyki.
Co to jest? myślą cni akademicy,
I rzną spokojnie prosto ku ulicy.
Tu mur cmentarny kościół opasuje,
W nim jedna brama tylko się znajduje.
Ku niej zdążają nasi przyjaciele,
A wśród nich Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Wtem lotny kamień świsnął wśród eteru,
Zmiażdżył cylindry z akademji czteru.
Na to Byczkiewicz, chociaż człek spokojny,
Dał mimowoli początek do wojny:
Mularza schwycił atakującego
I laską dobrze strzepał surdut jego.

Było to jawne walki rozpoczęcie,
Więc jakiś mularz jał krzyzczeć zawzięcie:
„Hurra! Walcieno — tłuczcie heretyki!
Niech pomną Kleparz te akademiki!“

Ścisły się tłumy — naprzód postąpiły;
Za małe miała akademja siły —
Bronią się zatem jak mogą laskami,
A tu jak gradem sypią kamieniami.

Widzi to Stonóg. Stał z boku przy murze,
Niechętny bardzo takiej awanturze,
Ale spostrzegłszy, że źle wkrótce będzie,
Chciał im dopomódz i stanął też w rzędzie.
Potem rozważnie rzekł skrzydlate słowo:
„Cny mój Dekalski! Stańno tu z polową,
Ja z drugą w bramie odwrót zabezpieczę —
W ten sposób każdy cały ztąd uciecze!“

Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.

Więc garstka męźnych wzniosła laski w górę
I jak lew wpadła w straszną wrogów chmurę.
A czegoż męźnych odwaga nie złamie?
Błysły cylindry walecznych przy bramie,
Otwarli drogę drżąc nieprzyjaciele
I pierwsi drapli Rubinstein, Kitzele,
Za nimi Lerman przy boku Deichesa,
Salomon Cypres obok Margulesa,
Goldbaum, Horowitz, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower,
Szczęśliwi, że się raz za mur dostali,
A Stonóg z resztą tuż za nimi wali;
Radzi, iż uszli na razie pogromu,
Chcieli powracać spokojnie do domu —

Lecz ich zwodnicze nadzieje zmyliły,
Bo odwrót zamkły inne wrogów siły —
Nowe wyległy mularzy szeregi,
Groźne i długie jako morza brzegi;
Równe tu trwogi, chociaż wrogi inne,
Widzą, że z deszczu — popadli pod rynnę.

Widzi to Stonóg. Gromadzi słuchaczy,
Zbiera do siebie i krzyczy, że raczej
Zginać, niż drapnąć sromotnie, przystoi.
„Naprzód więc razem, kędy zajazd stoi!”

Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.

Napastliwemu broniąc się wrogowi,
Z honorem idą ku Mateuszowi,
A razem z nimi, choć się trwożą wiele,
Ciagnie i Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Tam pod zajazdem, pod domem i płotem,
Uszykowani poza fosą z błotem,
Mogą bezpiecznie stawić wrogom czoło.
Rozkazy Stonóg wydaje w okolo.

W sam czas ukończył wojska szykowanie,
Bo wróg nadchodzi, nastaje już na nie.
Stonóg na czele jak głaz wryty stoi,
Bo chłop jest tęgi i nie się nie boi.
Obok Kościński, Barański, Kaczkowski,
Karbownik, Bekas, Popiel, Gawlikowski
(Bo Gawlikowski, chociaż demokrata,
W bitwie mularza nie mógł mieć za brata),
Nawet Habakuk, choć wielki klerykał,
Przecież się z wrogiem dość tego borykał,
I Szyszykiewicz trzymał się też wcale,
Walcząc przy dzikim litewskim Pukale.

Doktór Abramel cwiker na nos wsadził,
I choć się nie bił, jak bić za to radził.
(Jako mecenas, radzić mu przystoi,
Rad mecenasa, także człek się boi).
A Staszek z boku w koło kijem ściele,
Kryją się za nim Rubinstein, Kitzele,
Za nimi Lerman u boku Deichesa,
Salomon Cypres obok Margulesa —
Tak się tam działo; walczyli rozpacznie,
Czekając, rychło wróg uciekać zacznie.

Lecz gorzej, gorzej na prawo się działo,
Choć poszli w pomoc Dekalski, Pukało
Mimo wysień, pomimo odwagi,
Nie mogą zyskać na prawo przewagi,
Bo straszną bronią walczą przeciwnicy,
Sprostac nie mogą im akademicy.
Mularze widząc taki opór dzielny,
Z rozpaczy wpadli na pomysł piekielny:
Przynoszą ceber niesłuchanie duży,
A z niego wapno gaszone się kurzy;
Jedni to wapno mieszają kijami,
Reszta zaś zbrojna długimi pędzlami —
Macza je w wapnie i swych wrogów twarze
Piekielnym płynem niegodziwie maże.

Cofli się nasi — już nieład się szerzy,
Aż im na pomoc — Atene przybieży.
Przybrawszy postać jednego z mularzy,
Krzyknęła w tłumie niepoznana z twarzy:
„W nogi kto żyje! idą polikiery!“
Na to mularze drapli w strony cztery,
A nasi ceber z wapnem porywają
I znowu w szyku swym bojowym stają.

Wróg jednak wraca i rzuca się hurmem
I chce swój ceber odebrać im szturmem.
Na Byczkiewicza drab ogromny bieży,
Wielkim kamieniem prosto w głowę mierzy;
Możeby głowę rozbił mu na ćwierci —
Schylił się Byczek — i tak uszedł śmierci.

Gdy tak na prawo zacięcie walczyli,
Na lewo ku nam zwycięstwo się chyli.
I tam mularze wapnem kropić jeli;
Lecz parasole nasi rozwinęli
I za tą tarczą postępując raźnie,
Wrogom okrutną urządzili łaźnię.
Tu dzielny Malchus z grubym kijem w rękę,
Gdzie skinie ręką — słyhać odgłos jęku,
Choć ranny, chociaż obłany posoką,
Stał niewzruszony — istny lew na oko,
Gdy dumnie kroczy zjadłszy w polu byka,
A człek i zwierzę trwożnie przed nim zmyka.
Drżą przed nim wrogi, popłoch na nie pada
I uciekają jako wołów stada,
Gdy nań rój bąków siądzie nielitośny,
Tnąc woły żądlem, co bywa wśród wiosny.

Więc w jego stronę masa się rzuciła,
Liczba przemoże, gdzie nie starczy siła.
Biega więc tłumem, silniejsi na przedzie,
I nagle Malchus znalazł się tam w biedzie.
Ujrzał to Staszek. Świętą natchnion mocą,
Na nieprzyjaciół przyszedł mu z pomocą.
Wróg rzucił pocisk. Chybił poniewoli
I tak uniknął Staszek czarnej doli,
Wywinął kijem i naprzód dal susa
I wraz się znalazł przy boku Malchusa.

Ów drab, co pierwszej napadł Byczkiewicza,
Chciał teraz cegłą sprzątnąć Malhiewicza.
Pędzi więc z cegłą i pogróżki miota,
A bieży za nim z kijami hołota.
Pałnął go Staszek, wypadła mu cegła
I rozłupana u stóp Malcha legła;
Innyra kamykiem dostał Malchus w ramię,
Lecz pocisk ledwo, że zostawił znamię.
Więc Malchus na to zawołał radośny:
„Widzisz ty drabie, ty junaku sprośny,
Nie będziesz chelpił się w swojej głupocie,
Boć się znaleźli wzdy silniejsi od cię!“
Drab przerażony do kolan się schylił,
Prośbą o litość żałośnie doń kwilił.
Lecz twardy Malchus kijem machnął wściekły
I draba oczy nocą się powlekły.
Reszta wstrzymała kroku przerażona,
Łatwo już męstwo zwycięstwa dokona.

Lecz mimo zwycięstw, wrogów nie ubywa,
Aż Stonogowi myśl przyszła szczęśliwa.
Wpada co żywo w dom Mateuszowy,
Bieży z kilkoma na strych zajazdowy.

Biegą po schodach, a przez domu mury
Krzyk dolatuje do ucha ponury,
Co trwożną Manię obawą przenika.
Przybyli na strych — wyjrzeli z dymnika.
Ztąd, z wysokości, sięgało ich oko
Na boju przestrzeń, daleko — szeroko.
Zdała od Rondla aż do kościoła
Plac zbrojnym ludem zalany dokoła,
Ciagną się liczne mularzy szeregi,
Długie i groźne, jako morza brzegi,

Chłop tuż przy chłopie, jako w beczce śledzie,
 Lecz dla swej liczby w tem większej są biedzie,
 Bo garstka naszych, pod domem skupiona,
 Nie jest od wszystkich na raz zaczepiona.
 Wrzeszczą mularze i naprzód się pchają
 I w ciągłym biegu swych wrogów szukają.
 Ztąd nieład wśród nich i brak jest jedności
 I wygrać trudno, choć w takiej ilości;
 Więc choć już walka trwała od godziny,
 Nie cofnął kroku nikt z naszej drużyny.
 Farmaceuci wprawdzie nogę dali,
 Jednak koledzy ich nie żalowali;
 (Farmaceuci bowiem nie lubiani,
 Choć w modnym stroju, choć perfumowani,
 Bo chociaż żaden nie ma z nich matury,
 To jednak strasznie nos swój drze do góry).
 Tak szyki naszych trzymały się dzielnie,
 Choć wobec wrogów małe są djabelnie,
 A gdy ważnego coś w walce się stanie,
 Wraz słyhać o tem dokoła wołanie;
 Tak gdy zobaczy „prawo“ gdzieś medyka,
 Jak dzielnie kijem wali przeciwnika,
 Zazaz się w „prawie“ krzyk rozgłośny wszeczyna:
 „Wiwat krajacze, wiwat medycyna!“
 A gdy znów prawnik kogo tego bije,
 Grzmi medycyna: „Niechaj prawo żyje!“
 Tak wszyscy nasi ciągle walczą śmieie,
 Lecz gdzież jest Lerman, Rubinstein, Kitzele?
 Czyż ich pominąć ma zwycięstwa chwała,
 Czyżby ma Muza o nich zamilczała?
 Kiedy w wir walki wpadli poniewoli,
 Kryli się w tyle, by ujść smutnej doli,

Lecz mimochodem w takowym szlachtuzie,
Dostali przecież po niejednym guzie,
A więc przemyślni, za beczką ukryci,
Udają leżąc, że są już zabici.
Lecz jakiś szewczyk wziął za nos Kitzele,
Chcąc skonstatować śmierć nieprzyjaciela.
Żydkowie nie chcą wydać znaku życia,
Aby pociągłem nie wziąć jeszcze bicia,
Cierpliwie znoszą za nosy ciągnięcie
I zatrzymują w piersiach wszelkie technienie.
Ale Kitzele był zakatarzony —
I nagle kichnął — za nos pociągniony.
Więc szewczyk sądząc, że tylko zemdleni,
Wkrótce już pójdą do grobowych cieni —
Dusze ocalić chciał od potępienia
I wraz się zabrał do żydów ochrzczenia.
Zaczerpnął wody — tego już za wiele!
Zerwał się Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Zmykają szybko, ścigani razami,
Aż się ukryli za innych plecami,
Którzy wstrzymują napaść wrogów częstą,
Choć zasypani masą cegieł gęstą.
Oj! myśl szczęśliwa była to Stonoga,
By z strychu, z góry zabrać się do wroga!
Na strychu bowiem było cegieł wiele,
Temi z dymników tną nieprzyjaciela.
Aż wtem spostrzegli ze swej wysokości,
Że idzie patrol w niezwykłej ilości.
Źle — myśli Stonóg, będziem przycapieni
I jeszcze razem do kozy wsadzeni!
A więc co żywo walki zaprzestaje
I do ucieczki znaki swoim daje.

Gdy polikierzy mularzy już gonia,
Nasi przez wrota do domu się chronią;
Mateusz bramę czempředzej zamyka,
A przez drzwi tylne wszystko prędko zmyka,
Tylko pod Mani milusiej pościele
Skryli się Lerman, Rubinstein, Kitzele.



PIEŚŃ V.

NOWINY.

Chyłkiem nasz Staszek zmykał pokryjomu,
By ocalawszy, dostać się do domu.
Walczył on dzielnie przed zajazdu progiem,
Walczył odważnie pod mądrym Stonogiem.
Mężnych dzieł jego cyfra jest nie mała,
Choć Muza moja o nim zamilczała.

Wyminał w drodze polikierów wielu,
Aż przybył wreszcie do swojego celu.
Kontent, że bitew skończyła się era,
Do toalety swojej się zabiera.
Z lubością sobie papierosa kurzy,
A stare palto za szlafrok mu służy.
Wdział też pantofle cudnie wyszywane
I na odjezdnem przez siostrę mu dane,
Na nich lśnią barwy żółte i zielone,
A w środku z góry floresy czerwone.

Tak oto Staszek nasz w domu ubrany
Opatrzył guzy i ukoił rany;
Potem otworzył System praw Ungera
I do nauki swojej się zabiera,
Kiedy leciutko ktoś do drzwi zapukał.
„Herein“ — rzekł Staszek i klucza poszukał,
Otworzył pokój nieco niespokojny,
Czy nie policja szuka sprawcy wojny.

Lecz to Mateusz weszedł przygarbiony
I rzekł doń: „Niechaj będzie pochwalony!
Pamdonóg — niosę przeróżne nowiny.
Toż było lanie, toż to były chrzciny!
Pozwól pan spocząć, niech trochę wysapie“.
„Proszę — rzekł Staszek — siądź pan na kanapie —
Mów pan co słyhać, co się działo potem,
Gdyśmy... odeszli, bo nie nie wiem o tem“.
„Była to heca — rzekł więc gość po chwili —
Gdyście panowie dom mój opuścili;
Bo policja wystąpiła mnogo,
Chcąc burzycieli wziąć do kozy srogo,
Lecz że się boi człek każdy niewoli,
Więc nikt się nie chciał dać zabrać patroli;
Rozbiegł się naród w wsze strony dokola,
Łapać ich była nie mała mozoła;
Tego, owego gdzie go przycapiono,
Winny, niewinny do kozy pędzono.
I polikierom przytem się dostało,
Bo się to naród rozmachał nie mało,
Sypał kamieńmi i walił kijami
Jak gdyby dalej walczył jeszcze z wami.
No, ale wreszcie spokój przywrócono —
Żeby wybite kosztami noszono,

Włosy wydarte niósł wiatер daleko,
A krew w rynsztokach płynęła jak rzeka.
Potem robiono u mnie rewizyją,
Czy burzyciele jacy się nie kryją.
Trzech żydków jakichś znaleźli w pościeli,
Lecz ich do kozy ze sobą nie wzięli,
Bo to tchórzliwe tak biedactwo było,
Że im się chyba o bitkach nie śniło,
A jeśli byli przy tej awanturze,
To pewno w mysiej siedzieli gdzieś dziurze“.

Tak rzekł Mateusz, wziął fajkę do gęby,
Pociągnął, westchnął, puścił dymu kłęby.
„Najgorzej — rzekł znów po chwili milczenia —
Że ksiądz był ranion także od kamienia,
I to od swoich własnych przyjacieli.
Jechał fiakrem — oni nie wiedzieli;
Myśląc, że który z nieprzyjaciół zmyka,
„Łapaj! — krzyknęli — bij akademika!“
Lunął kamieni grad ku powozowi,
No — i niewinnie stłukli nos księdzowi.
Tak to we wojnie padają ofiary,
Winny, niewinny — nie ma żadnej miary...
Biedny księżyna! krew ciekła mu nosem,
Nie złością wrogów, lecz nieszczęsnym losem —
Lecz każdą kroplę Bóg z nieba policzy,
Za każdą odda mu kielich słodyczy!...“

Tak rzekłszy, westchnął pan Mateusz smutny,
Puścił z swej fajki kłęb dymu okrutny,
Potem wstał nagle — coś przypomniał sobie,
Zafrasowany po głowie się skrobie,
Więc wzięwszy rękę pana Stanisława,
Rzekł: „Inna tutaj przywiodła mnie sprawa,

Niż mówić o tem, co pan już wie może...
Lecz człek ma tyle kłopotów — mój Boże! —
Że nieraz nie wie, gdzie jest jego głowa.

Więc moją sprawę w krótkie powiem słowa:

Oto na przyszłą, da Pan Bóg, niedzielę,
Będzie mej wnuczki Maryni wesele,
Bo jej iść zamaż dobrze się trafiło,
Więc i małżeństwo szybko się skleilo.
Jej narzeczony jest to człek porządny,
Młody i trzeźwy, przystojny, rozsądny,
Z dobrej rodziny (ojciec był ślusarzem,
Stryj jest ekspresem a brat aptekarzem);
Był przy ulanach, przy wojsku firerem,
A teraz został w sądzie amtsdynamerem.
On ma pensyjkę, ja też z łaski nieba
Także tam kęssek zostawię im chleba,
Więc też nie długie były ceregiele
I wkrótce w domu będę mieć wesele.

Gdy z wolą Bożą stanęła tak sprawa,
Śniem w drużby prosić pana Stanisława.
Honor to będzie dla naszej rodziny,
Gdy pan zaszczyci skromne zaślubiny;
Będziemy wdzięczni, ja i państwo młodzi,
Gdy drużbą będzie zacy pan dobrodziej,
Bo my widzimy w panu przyjaciela
I to nas tylko do prośby ośmiela“.

Nasz Staszek słuchał na poly zdziwiony
Tą wiadomością, na poly zmartwiony,
Gdy mu Mateusz rzekł o tej nowinie,
Bo kochał trochę milusią Marynię.
Więc milczał chwilę, aż się opanował,
W serca tajnikach uczucia zachował,

Przyrzekł być drużbą przy ślubie w kościele,
Przyrzekł zaszczycić Maryni wesele.

* * *

„Pod telegrafem“ aż pękają ściany,
Tak cały areszt więźniami zapchany.
Tam na barlogu przy nędznej łożówce,
Spoczęły dzielne, lecz nieszczesne hufce.
Tam spoczął cały prawie kwiat Kleparza,
Licząc od szewca, krawca, do mularza.

Lecz właśnie wielość biednych ocaliła,
Bo trudno karać, gdzie przestępców tyła.
A więc nazajutrz rankiem ich puszczoneo
I noc aresztu w karę policzoneo.
Tak powrócili do codziennej pracy;
Czcią otoczyli ich wdzięczni rodacy,
I szyją buty tak jak dawniej szyli,
I noszą cegły jak dawniej nosili,
Zgoda zakwitła wśród obywateli,
Którzy o walce wkrótce zapomnieli.

Wprawiono szyby, rynek zamieciono,
Do zwyczajnego życia powrócono.

Czasem wieczorem, o szarej godzinie,
Pater familjas siadłszy przy rodzinie,
Drzwi od Europy zamknawszy hałasów,
Wyrwie się myślą do tych dawnych czasów,
Jakie tu dawniej toczyły się boje...

Ale studentów z Kleparzem zażyłość
Poszła w niepamięć. Tylko czasem miłość
Ich jeszcze zbliża. Znałem ludzi dwoje —



PIEŚŃ VI.

LOS Y ZAJAZDU.

Od rana życie w zajeździe kipiało,
Od rana gości ciągle przybywało.
Dziś w całym domu wrzawy, stuku wiele,
Bo dzisiaj pięknej Maryni wesele.

Już goście liczni zgromadzeni w sali,
Czekając uczty, w koło rozmawiali,
Kiedy Mateusz w swym odświętnym stroju
Zjawił się nagle pośród gości roju.
Uprzejmie prosi, by miejsca zajęli
I dary Boże spożywać zaczęli.

Więc wszczął się rwetes, proszenie, stukanie,
Nim się rozsiedli panowie i panie.
Na pierwszym miejscu zasiadł ksiądz Dobrodziej
Bolian — choć rzadko po weselach chodzi;
On uroczyście rano po mszy w farze
Stulą powiązał ręce młodej parze.

Biedna kanapa obok się ugina,
Gdzie siedzi strasznie gruba starościna,
Starosta obok; człowiek wprawdzie mały,
Dźwiga na twarzy jednak nos wspaniały,
Przy niej znów siedzi Mani ciotka stara,
Naprzeciw księdza zaś weselna para.

Dalej zasiedli domu przyjaciele
I zaproszeni goście na wesele.
Kręcą się wszędzie druchny i druźbowie,
Gotowi w kącie są muzykantowie.

Nasz Staszek druźba w wirze promienieje,
A usług jego nie zapomną dzieje.
Ogromny bukiet ma u swego fraka,
Pod pachą dzierży z szykiem szapokłaka,
W koło się kręci, pannom nadskakuje,
Niskie ukłony zewsząd otrzymuje.
On towarzystwa jest duszą całego,
Každy z szacunkiem spogląda na niego,
Bo on tu słońcem, które promienieje,
Oświeca wszystkich i dowcipem grzeje,
W okolo niego kręcą się planety,
Starzy i młodzi, a zwłaszcza kobiety;
Upzejmie w koło rozmowami bawi,
Pannom do uszek komplementa prawi,
Podaje placki, podaje talerze,
Nalewa szklanki, wypróznione bierze
I coraz nowe butelki przynosi,
Nalewa wszystkim i ciągle pić prosi.
Pić się wzbraniają szczególnie kobiety,
Więc trunku wszystkie wylicza zalety,
Jak grzeje w zimie, a jak ziębi w lecie,
Przynosi ulgę, kiedy troska gniece,

Chorych uzdrawia, a zdrowym nie szkodzi,
Więc go pić winni i starzy i młodzi.

Tak służył Staszek, jak družbie przystało,
Z radością wszystkich, aplauzem i chwałą.
Wdzięczna mu za to Marynia nie mało,
Główką mu kiwa na znak swej wdzięczności,
Raz w raz pan młody ciśnie się przez gości
I dłoń mu ściska, że aż trzeszcza kości.

Stary Mateusz wciąż przy Staszka boku,
Zabawę gości ma pilnie na oku,
Staszekowi szeptem porady do ucha,
Nawzajem pilnie jego zleceń słucha,
Tam i napowrót drepce wciąż dokoła,
Bacząc, czy czego nie braknie u stoła,
Czasem do kuchni, piwnicy zaziera,
I kontent ręce z radością zaciera.

Jedyna troska gniecie Mateusza,
Że grzeczność fajkę porzucić go zmusza,
Porcelanową tę fajkę z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką.
Czasem zapomni, sięga do cybucha,
Chce nabić fajkę tytoniem z kapciucha,
A wtem przypomni — ręka mu opada
I z żalem fajkę do kieszeni wkłada,
Porcelanową swą fajkę z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką.

Wtem krząknął proboszcz, dźwignął się z siedzenia,
Więc zaprzestano picia i jedzenia,
Widząc, że proboszcz chce wystąpić z mową;
Wśród ciszy zatem rzekł ksiądz lotne słowo:

„Z radością zawsze wchodzę w wasze progi,
Pomiędzy ludźmi zawsze dla mnie drogi;

U ludu, u was panowie mieszczenie,
Wiara, pobożność, jeszcze niezachwiane,
A to fundament jest szczęścia wiecznego.
Więc wiary strzeżcie, klejnotu waszego;
Ona od grzechu dzielnie was osłoni,
Ona was wyrwie ze światowej toni,
I z nią bezpieczni, jako z talizmanem,
Staniecie na sąd odważni przed Panem.
Wiary więc strzeżcie; uczcie wasze dziatki
Wiary, miłości dla kościoła-matki.
Takie życzenia składam oto w darze
Dziś połączonej młodej ślubnej parze,
Życzę im tego i zdrowie ich wznoszę
I duszkiem toast wychylić ten proszę!“

Tu ksiądz wychylił swój kieliszek mały.
Krzyknęto: „Wiwat!“ szklanki zabrzęczały,
Muzyka z kąta wygrywa fanfary
Na powodzenie i cześć młodej pary;
Dziękują księdzu za jego życzenia
I znów się biorą do picia, jedzenia.
A ile pito! Któż powiedzieć zdoła,
Ile butelek obeszło dokoła!
Ile indyków, babek i placków zjedzono,
Ile tam mówek sobie wypalono —
Żaden poeta tego nie wypowie.

Pito więc najprzód za proboszcza zdrowie,
Potem starosty, pani starościны,
Gości obecnych na godach Maryni.
Wreszcie Mateusz, choć zwykle milezący,
Wziął w rękę kielich i w mowie gorącej
Toast naszego pije Staszka-drużby,
Licząc zalety jego dzielnej służby.

„Wiwat!“ krzyknęli wszyscy dookoła
I wszczął się rumor u całego stoła,
Bo go już wszyscy z serca pokochali,
Ci nawet, co go ledwo dziś poznali.

A na to Staszek z godnością powstaje
I że chce mówić, znaki w koło daje.

Umilkli wszyscy, zasiedli dokoła,
I znowu cisza zaległa u stoła,
Widzą, że znowu będzie do nich mowa,
A Staszek wtedy rzekł skrzydlate słowa:

„Księżu proboszczu i przezacne panie!
Weselni goście! panowie mieszczenie!
Z serca za toast życzliwy dziękuję
I odpowiedzieć toastem spróbuję.
Pito już zdrowie księdza Boliana,
I pani młodej i młodego pana,
Starosty, gości i waszego sługi
— Tu Staszek oddał w koło pokłon długi. —
Ja się oderwę od terażniejszości
I wzniosę toast, lecz toast — przyszłości.
Niech młodej pary ród nie zginie marnie,
Lecz niech z bogaci pobożną owiecznię
Księdza proboszcza kilku owieczkami,
Kilkorą córek i kilku synami...”

Tu skromna Mania oblała się pąsem,
Pan młody krząknął i pokręcił wąsem,
Mateusz krzyknął z kąta: „Brawo! brawo!”
Śmieli się wszyscy na lewo i prawo,
Nawet ksiądz proboszcz uśmiechnąć się raczył,
A Staszek dalej tak myśl swą tłumaczył:

„Już gość szanowny, ksiądz proboszcz Dobrodziej,
Wspomniał, jak dzieci wychować się godzi,

Jak trzeba uczyć ich religijności,
Wiary, nadziei, kościoła miłości;
Ja tu przypomnieć pragnę jeszcze wiele,
Co umieć winni cni obywatele —
Nietylko starać się winni do nieba,
Lecz i o świecie pamiętać coś trzeba...”

Tu ksiądz, co dotąd potakiwał głową,
Drgnął niespokojnie na ostatnie słowo,
Bo przeczuł w mowie coś heretyckiego,
Staszek zaś ciągnął nie bacząc na niego:

„Trzeba pamiętać na ojczyznę miłą
I dla jej dobra walczyć całą siłą,
A jako żeglarz pośród morskiej jazdy,
Bieży za blaskiem przewodniczki gwiazdy,
Tak my kierujmy statkiem życia swego,
Myślą o kraju i o szczęściu jego.

Gospodarz zacytował przykładem tu świeci;
Bowiem, gdy rok był sześćdziesiąty trzeci,
Jak tylko wieści nadeszły z Warszawy,
Że lud bezbronny Moskale mordują
I w cytadelę lub Sybir pakują,
W lot pan Mateusz wziął się do tej sprawy:
Nocą, wieczorem, pomału, pocichu,
Przy pogawędce albo przy kielichu
Zbierał na pomoc wszędzie ochotników,
Czy to studentów, czy to rzemieślników,
I do Królestwa ruszyli Polskiego,
Gdzie brzmiał głos miły: „Witaj nam kolego!”
Tak pan Mateusz był między pierwszymi,
Dopiero drudzy szli w ślady za nimi,
Poszli Walterzy, Kosiński, Kurkiewicz,
Kosz, Korytkiewicz, Weber, Filipkiewicz,

Fischer, Konopka, Wentzel, Wiatrowicze
I wielu innych, których nie policzę,
Kraków kochany z żalem porzucali
I szli, by z Polski wypędzić Moskali.
Takto, szanowni panowie mieszczenie,
Kochali Polskę zawsze Krakowianie,
Zawždy poświęcić się byli gotowi,
Kiedy szło o to, by pomódz krajowi;
Tutaj Kościuszko powstanie podnosił,
Tu Poniatowski wolność nam ogłosił,
Tutaj rozbitki, zbiegi z za kordonów
Chronili głowę z pod wrogich zagonów;
Zawsze na Kraków patrzą się rodacy,
Bo dla Ojczyzny pierwsi Krakowiaczy.
Niech więc przodkowie będą wam przykładem,
Niechaj potomki idą za ich śladem
I niech z dzisiejszej młodej pary dzieci
Przykład podobny dla ich wnuków świeci“.

Tak rzekł nasz Staszek. Wszyscy w koło wstali
I za te słowa ręce mu ściskali;
Wtem pan Mateusz rękę w górę wznosi
I do tanecznej sali wszystkich prosi.

Goście usiedli na krzesłach pod ścianą,
Tymczasem salę z sprzętów wypróżniano.
Do tańca prosi podłoga woskowa,
Już i muzyka do grania gotowa,
Schodzi się młodzież tańca niecierpliwa,
Staszka ogólny głos na czoło wzywa.
On zaś przeczuwszy, jakie ma zadanie,
Pragnął ostudzić głowę rozmarzoną,
Więc musiał gości osamotnić grono

I wyszedł na dwór przy ślicznej pogodzie
Odtechnąć chwilę na wieczornym chłodzie.
Wsparł się o studnię, w górę podniósł głowę;
Czuje powietrze ożywcze i zdrowe
I całą piersią powiew wiatru chwytą
I okiem w niebios firmamencie czyta.

Zabłyśły gwiazdy. Już jedna i druga,
Już setki, już ich tysiąc mruga.
Kastor z Polluksem jaśnieją na czele,
Zwani u Słowian Lele i Polele
A żydzi zwa ich Rubinstein, Kitzele;
Dalej znów Wagi dwie szale błyskają.
Na nich to Pan Bóg — jak opowiadają —
Przeważył losy z mularzami walki
I na pamiątkę powiesił te szalki,
Na firmamencie nieba nieskończonym.
Na północ płonie płomieniem przymglonym
Blyszczący okrąg Sita dziurawego.
Pan Bóg — jak mówią — przesiewał przez niego
Żydów niegodnych mieszkać w Palestynie,
Za śmierć na Bożym wykonaną Synie;
Drobiazg żydowski przez sito przesiany
Rozbiegl się na świat między chrześciany,
Grubsi i gorsi co zostali w siecie,
Mają za zbrodnie w piekle pędzić życie.
Niecóż znów wyżej ponad Sita gwiazdy,
Wóz długi dyszel kieruje do jazdy,
Zwią go dziś często niebieskim tramwajem,
Lub omnibusem dawniejszym zwyczajem,
Mniejsza o nazwę, dość, że tę planetę
Wszyscy za niebios uznali karete.

Świeci gwiazd reszta rozsiana dokoła,
Których imiona któż wyliczyć zdola!
Błyskają zdala, mrugają na Staszka,
A że mu głowę zamaćciła flaszka,
Więc mu się zdaje, że niebios sklepienie
Zmieniło dzisiaj swoje ubarwienie,
Że tworzy pole bilardu zielone,
Po niem mkną gwiazdy jak bile toczone,
„Bandy“ bilardu, to dziedzina ramy.

Tak sobie marzył Staszek zadumany
I myślą bieży na bilardu pole
I z gwiazd układa w myśli karambole:
Oto Oryjon w trzech punktach błyszczący,
Zda mu się jako „nachlaufer“ nęcący,
Kossyopeja tuż na krańcu nieba
Tworzy „siadacza“ — lecz się „cofać“ trzeba,
A z Wozu dyszła nieco nadgiętego
Można też zrobić siadacza „cienkiego“,
Lecz trudny bardzo, niemożliwy prawie...

Wtem wrzasły głosy: „Panie Stanisławie!“
Ocknął się Staszek, słysząc imię swoje,
Widzi, że czas już wracać na pokój,
Łyknął powietrza i napil się wody;
Tak odświeżony powrócił na gody.

Stała młodzież dorodna i zdrowa
Parami w koło, do tańca gotowa;
Już też muzyka w kącie ustawiona,
Skrzypce i basy ujęła w ramiona —
Gdy się Staszkowa zjawiała persona.
„Polonez! — krzyknął — zacniem od polskiego“,
I piękną druchnę wziął do boku swego.

Ruszyły z miejsca poloneza pary,
Tak zacząć każe polski zwyczaj stary.

Potem plac tańcu starsi opuścili,
Młodzieży miejsca chętnie ustąpili,
Z boku sobie usiedli, pogadanką
Się bawiąc, kuflem, butelką i szklanką.
Młodzież się wzięła zaraz do mazura,
A młoda para wnet gdzieś dała nura,
I tak bez przerwy do samego ranka
Trwała wesola młodzi pohulanka.

* * *

Minęły lata. Jakież w świecie zmiany!
Jaki nowości między Kleparzany!

Gdzie niezglębione błota się ciągnęły,
Dziś brukowane ujrzysz tam ulice,
W koło cieniste drzewa zakwitnęły,
Zdobiać przedmieście piastowskiej stolicy.
Lecz niedość na tem, niedość moi mili!
Spojrzyj na Kleparz, gdy się dzień nachyli,
Zobaczysz lunę, co niebios sklepienie
Krwawym płomieniem gazowym obleje,
Którym rozprasza czarne nocy cienie —

Oto postępu lat ostatnich dzieje!
Lecz niedość na tem. Jeszcze inne zmiany
Zaszły tymczasem między Kleparzany.
Dawniej chałupki, domki parterowe
Zdobily rynek — dziś, gmachy piętrowe,
Piękne na oko, lecz wewnątrz nikiemne,
Kryją rozpustę i izby karczemne.
Gdzie dawniej polskie widziałeś napisy,
Dziś są na szyldach Pinkasy, Cyprysy —

Gdy to zobaczysz — serce zboleje,
Bo w tem wyczytasz lat ostatnich dzieje!

Stary zajeździe! Jakież twe koleje?
Przetrwalżesz liczne lat ostatnich zmiany?
Czyż stoją jeszcze twoje stare ściany
Z odartym tynkiem, z małemi oknami?
Stare dymniki czy na twoim grzbiecie
Zostały jeszcze mimo zmian na świecie?

Próżnobyś Kleparz przebiegał szeroki,
Próżnobyś dzisiaj zwrócił tam twe kroki,
Wprawdzie zajazdów znajdziesz jeszcze wiele,
Lecz te z francuska zwą się dziś: hotele,
A wśród nich nie masz zajazdu naszego,
Nie masz ni gruzów, tylko — miejsce jego.

Ziemia, co niegdyś mur jego dźwigała,
Dziś wyrównana, brukowana cała,
Tworzy szeroką i długą ulicę,
Kamienie w bruku jej jedyne świadki,
Co spoglądały na pieśni wypadki,
Lecz nieme — kryją dawne tajemnice.



